

## TYGODNIK KULTURALNY

WARSZAWA , 24 KWIETNIA 1988

### TEN JEST Z OJCZYZNY MOJEJ

**Z JERZYM KOSIŃSKIM**

rozmawia Paweł Popiak

**- Po ponad trzydziestu latach od wyjazdu z Polski, dopiero teraz się zaczyna o Panu nad Wisłą mówić i to coraz głośniej...**

- Byłbym nieszczerzy, gdybym powiedział, że mnie to nie wzrusza w najwyższym stopniu. Tu nie chodzi o popularność czy schlebaniu własnej próżności – choć żaden artysta nie jest od tych ciągłot zupełnie wolny. Tu idzie o dużo więcej: o istotę samego siebie, a także o ciągłość więzi z krajem ojczystym, w którym się urodziłem, wychowałem i przeżyłem 24 lata. O rzeczywistość mojej jaźni, która dla pisarza jest głównym dostawcą wrażeń, skojarzeń i folkloru kulturowo-moralnego. Pojawienie się w Polsce mojego nazwiska i informacji na temat mojej twórczości, a także sprawa wzmocnienia moich kontaktów z kolebką – ma aspekt dużo szerszy...

Wyjechałem z Polski mając 24 lata, bo nie chciałem być częścią systemu kolektywistycznego. Była to romantyczna decyzja młodego człowieka, który wybrał się na szukanie i poznawanie świata. Człowieka rozdwojonego, po przeżyciu – w czasach bierutowskich – szczególnej szkoły „jazdy społecznej”. Po poznaniu autorytetu budowanego nie na prawie moralnym, a na sile. Było więc w tej decyzji tyle strachu przed kolektywizmem – w szkole, w kawiarni – jakimkolwiek, co chęci spotkania z nowym. Wyjechałem z Polski z powodów głównie psychicznych, aby „porzucić ziemię, którą się zna dla większej ziemi; porzucić życie, które się ma dla pełniejszego życia; porzucić przyjaciół, których się kochało dla większego kochania; by odkryć ląd miłszy niż dom i większy niż ziemia”. Mówię o tym metaforycznie słowami Tomasa Wolfe’a, pisarza amerykańskiego, który zmarł w 1938 roku. Napisał je w mojej ulubionej powieści „You can’t go home again”, po wyjeździe na stałe ze rodzinnego miasta Ashville, w Nowej Karolinie.

Gdyby to był wyjazd normalny, łatwy – razem na przykład z przyjaciółmi – to może wróciłbym do kraju po pół roku. A tak – ponad trzydzieści lat nie było mnie w Polsce i dopiero teraz urzeczywistnia się moje wielkie pragnienie – choćby najkrótszego powrotu.

**- Jak to się stało, że Pan w ogóle zaczął pisać i czemu przypisać wierność nazwisku Kosiński, które i trudno się w Ameryce wymawia, i nie najłatwiej zapamiętuje?**

- Pierwsze kroki w Stanach Zjednoczonych miałem stosunkowo ułatwione – i to nie tylko dzięki znajomości języka i wielu spraw związanych z tym krajem. Po paru miesiącach trudności zarobkowych dostałem sześciomiesięczne stypendium Forda: nie musiałem więc myśleć o sprawach tak prozaicznych jak utrzymanie. Czy poddałem się fascynacji Ameryką, tak jak wielu innych? Nie Ameryką – życiem! Bo życia nie wolno w żaden sposób redukować! Moja aklimatyzację ułatwił w

dużym stopniu mój stosunek do życia i jego materialnych przejawów. Cokolwiek można - wynajmuję, aby posiadać jak najmniej. Z miesiąca na miesiąc przedłużam swoje fizyczne bytowanie, do niczego materialnego nie przywiązuję specjalnej wagi. Mam stary samochód i małe, dwupokojowe mieszkanie. Żona i ja prowadzimy koczowniczy tryb życia, co ułatwia brak dzieci i krewnych...

Zanim zacząłem pisać swoje eseje w Stanach, wydałem dwie monografie o XIX wieku w Polsce, z których jedna dotyczyła rewolucji ludowej Jakuba Jaworskiego, a druga procesu proletariackich.

Moja droga do literatury była – jak to zwykle – nieco przypadkowa. Przeczytałem, już w Stanach, „Pochwałę dyletantów” profesora Stefana Szumana – i postanowiłem spróbować swych sił w powieści. Dlaczego by nie?! Po „Malowanym Ptaku” napisałem między innymi: „Kroki”, „Wystarczy być” (na podstawie tej książki nakręcony został film), „Drzewo diabła”, „Kabinę pilotów”, „Ślepą randkę”, „Grę namiętności” i „Pinball”. Teraz zastał mnie pan przy pracy nad moją najnowszą powieścią „Pustelnik z 69 Ulicy”, która nosi celowy podtytuł „Brudnopis Norberta Koskiego”. Jest to powieść szczególna, o krańcowo odmiennym typie narracji, fikcyjnej, naukowej lub mało fikcyjnej. Ma przypisy, podpisy, cytaty i tym podobne. Sprawia wrażenie manuskryptu. Jest to swoista topografia pisarskiego umysłu. Zabawa filozoficzno-literacka, psychiczny rozrachunek pisarza. Można też powiedzieć: protopowieść lub autofikcja, jak ja to nazywam. Jest to dzieło niemałe, bo około 600-stronicowe. „Pustelnik” jest jakby dziełem zatrzymanym w akcie tworzenia.

No, ale skoro tyle już o sobie mówię, to pozostała rzeczywistość jeszcze sprawa nazwiska. Istotnie, każde inne - niż Kosiński – byłoby w Ameryce lepsze. Choćby rodzinne nazwisko mojego ojca – Lewinkopf, czy matki – Weinreich. Kiedy w 1957 roku podjąłem decyzję pozostania przy nazwisku, które przybrał ojciec, Kosiński – chciałem w ten sposób podkreślić swoją wolę kontynuacji, ciągłości. Mój szczególny stosunek do miejsca urodzenia i wychowania. Do życia, bowiem nazwisku temu zawdzięczam w pewnej mierze właśnie życie.

#### **- Zaczął Pan pisać od razu po angielsku - i w tym języku wyłącznie Pan tworzy.**

- Moje studia dotyczące socjologii rodziny amerykańskiej, jakie prowadziłem w Polsce pod kierunkiem między innymi profesora Józefa Chałasińskiego – zbliżyły mnie do jakże wówczas modnej socjologii amerykańskiej, a także do amerykańskiej codzienności. Z Polski wyjechałem, znając więcej niż dobrze język angielski. Po sześciu, czy dziewięciu tygodniach pobytu w Stanach - mówiłem już bez żadnych zahamowań. Był to rezultat metody nauki języka angielskiego w kraju. Profesor Stefan Szuman – podobnie jak mój ojciec – mawiał, że trzeba przysiąc łań, bowiem zdanie pisane wymaga znacznie więcej wysiłku i czasu niż zdanie wypowiedziane. Zachęcili mnie oni - i to dość skutecznie – do ciężkiej pracy nad nauką języka angielskiego. Bardzo interesowałem się w tamtym okresie nie tylko socjologią, ale także literaturą tego kraju: język był więc orężem, sposobem, aby zbliżyć się do przedmiotu ówczesnej pasji. Pierwsze dwa zbiory esejów, które wydałem w Stanach Zjednoczonych pod pseudonimem Józef Nowak – napisałem już po angielsku. Były one kontynuacją moich wcześniejszych, socjologicznych zainteresowań i dotyczyły społeczeństwa kolektywistycznego, Zresztą tytuły tych zbiorów mówią same za siebie: „Przyszłość jest nasza, towarzyszu” (1960 r.) i „Nie ma trzeciej drogi” (1962 r.).

A skoro już o języku mówimy – to warto powiedzieć o niemałym dylemacie takiego jak ja dwujęzycznego twórcy. Zresztą, takich pisarzy jest w Ameryce bardzo dużo. Otóż, posługiwanie się każdym językiem nakłada pewne ograniczenia. Decydując się na pisanie językiem zaadoptowanym, drugim jaki posiadało się w życiu – popada się w pewne niebezpieczeństwo braku więzi z jego spontanicznością; z psychicznymi, emocjonalnymi uwarunkowaniami. Tych refleksów, często

mechanicznych, które przekazywane są przez rodziców (moi mówili w domu po polsku), przez wychowanie szkolne, studia, przez środowisko okresu wzrastania. Pisarz posługując się drugim językiem pozostaje w dużej mierze „wynałazcą-chałupnikiem”, który – chcąc nie chcąc – musi polegać na własnej oryginalności. Jednocześnie zyskuje dystans psychiczny i większą swobodę „ruchu wyobraźni”, nagle wyzwolonej ze sztammy tubylczej. Między nami mówiąc – wiele osób tworzyło i tworzy w języku angielskim, choć jest to ich język przybrany. Warto choćby wymienić: Floriana Znanieckiego, Bronisława Malinowskiego, Antoniego Gronowicza, a także Nabokova, Eliade, Brodskiego, Ionesco, Becketta.

Pobyt w Ameryce w jakiejś mierze ułatwia uprawianie twórczości w przybranym języku: to jest kraj emigrantów: tu się przyjeżdża – i jest się. Po prostu... Kiedy teraz szperam w myślach, to ileż znajdę osób, które wręcz genialnie piszą po angielsku. Choćby Jerzy Pietrkiewicz. Daj Boże, żebym takim angielskim pisał...

**- Ale chyba sam język, choćby potrafiło się największą oryginalność w posługiwaniu się nim wypracować – to jeszcze za mało, żeby wypłynąć w Ameryce choćby na najpłytsze wody popularności. A przecież Jerzy Kosiński jest pisarzem popularnym! Pana książki ukazały się w milionach egzemplarzy, zostały przetłumaczone.**

- Powieści w Ameryce nie odgrywają specjalnej roli. Są powieści w stylu i o tematyce bardziej dostępne dla czytelników, dla których czytanie to najprostsza rozrywka, poza – jeszcze prostszą – telewizją. Autor każdej książki bardziej skomplikowanej, trudniejszej musi się liczyć z tym, że jej odbiór będzie stosunkowo skromny, ograniczony. Na niej ani pieniędzy, ani popularności nie robi. Pisarze, choćby najlepsi, mieszczą się w Stanach w dziesiątej grupie popularności. Taka jest rzeczywistość, takie są realia. Jeśli ktoś pragnie je zmienić – musi rzucić na szalę całą swoją osobowość, także pozapisarską. Musi być widoczny w społeczeństwie, musi być ruchliwy. Wtedy ma szansę na zdobycie niewielkiej choćby popularności dla swoich książek. Ale w takiej zróżnicowanej bardzo demograficznie Ameryce kilka milionów czytelników – to już jest „trochę”. Nie chwając się: mnie pomogła własna osobowość. Wykładałem w wielkich amerykańskich uniwersytetach – Princeton i Yale. Na tym ostatnim jestem do dzisiaj członkiem kolegium naukowego i od czasu do czasu wykładam jeszcze odczyty. Swoisty status na tej uczelni połączony z potrzebą przebywania w tym specyficznym środowisku młodzieży – każą mi dzielić miejsce zamieszkania między skromne mieszkanie przy 57 ulicy nowojorskiego Manhattanu a wynajęte lokum na terenie uniwersytetu Yale.

Pisarz na Zachodzie musi epatować swoją osobowością. To jest jedna z szans wejścia na rynek, znalezienia swego miejsca w społeczeństwie, które ma trudności z zaakceptowaniem literatury abstrakcyjnej.

**- Pan wszedł na rynek dzięki „Malowanemu ptakowi” („The painted bird”): czy tak zupełnie bez trudu?**

- Proszę pana: pierwsze wydanie - w twardej obwolucie – nie wywołało prawie żadnego rezonansu. Sprzedano zaledwie około trzech tysięcy egzemplarzy. Śmieję się teraz, że w każdym polskim mieście znalazło by się więcej nabywców... Dopiero, kiedy postarałem się, aby na okładce masowego, kieszonkowego wydania, które ukazało się rok później – w 1966 r. – znalazł się fragment obrazu Hieronima Boscha, zaczął się okres wielkiej popularności „Malowanego ptaka”. Wydania następne, a trudno mi już zliczyć, ile ich naprawdę było – zostały wydrukowane w milionach

egzemplarzy. W tym pierwszym popularnym wydaniu nie było – wbrew amerykańskim zwyczajom – ani słowa o autorze, poza jego imieniem i nazwiskiem. Książka zaczęła zdobywać masowych czytelników, bowiem dostrzeżono w niej wartości uniwersalne. Zasygnalizowane zresztą malarstwem Boscha – owym potworem z dzieckiem w koszyku, a także bezimiennym typem samej narracji. Ja zresztą uwielbiam Boscha – jego erotyzm, konkretność i niekonkretność, elementy obecne także u Brunona Schulza, polsko-żydowskiego nie tylko pisarza, ale i rysownika. Czytelnicy „Malowanego ptaka” – a był to okres nasilonej młodzieżowej kontestacji, hippisów, dzieci-kwiatów, a także wojny w Wietnamie – „weszli” w książkę przez okładkę. Było w tym coś z magii. Dość powiedzieć, że książka ta rozeszła się w wielu częściach Stanów Zjednoczonych znakomicie, a dla ówczesnych młodych-zbuntowanych toczących wojnę ze społeczeństwem – była swoistym paszportem.

**- „Malowany ptak” – mimo, że nie został przetłumaczony na język polski, zyskał jednak nad Wisłą opinię książki wyraźnie antypolskiej. A jaka jest prawda?**

- To, że książce „Malowany ptak” przypisano etykietkę antypolską – jest po prostu mitem, w postaniu którego samo dzieło nic nie zawiniło. Zanim powiem o jego powstaniu – muszę stwierdzić raz jeszcze, że jest to książka najbardziej abstrakcyjna z możliwych. Kiedy przystępowałem do jej pisania – długo myślałem nad tym, jak napisać o drugiej wojnie światowej bez drugiej wojny światowej. Jak uabstrakcyjnić wojnę, pokazać anonimowo jej istotę. Jak wyrazić psychikę i przeżycia dziecka w oderwaniu od nazwania etnicznego czy geograficznego. Tego dziecka abstrakcyjnego, z koszyka Boschowskiego obrazu.

Uraz w Polsce do „Malowanego ptaka” zrodził się w Ameryce, powstał z przygody, jaką w 1965 roku miał – w Kielcach bodajże czy Radomiu – Andrew Field. Miał tam jakieś przygody z milicją i oberwał od niej. Potem wrócił do Stanów i przeczytał moją książkę i w recenzji do „New York Herald Tribune” umiejscowił jej akcję właśnie w Polsce. Ale to już są losy, jakie zdarzają się książkom i na dobrą sprawę niewiele można uczynić, żeby je odmienić. Jej autorowi pozostaje jedynie wyrażenie stwierdzeń, że nie miał ani zamiaru, ani tym bardziej celu napisać książki antypolskiej i że nie jest ona też w najmniejszym stopniu autobiograficzna.

Znane jest powiedzenie Voltaire’a, że kto bierze pióro do ręki, ten zaczyna wojnę. I choć ja znałem je od dawna, do pewnego czasu nie zdawałem sobie z jego treści i znaczenia sprawy. Lekcja interpretacji „Malowanego ptaka” – dała mi w każdym razie dużo do myślenia. Powiem może na koniec w tej sprawie tyle, że faktycznie były i są książki antypolskie, ale to, że się one ukazały, zawsze doprowadzało mnie do szału.

- Pana książki są pełne odniesień do spraw ogólnych. Jak więc Pan patrzy na związki pisarza z Ojczyzną i swoim narodem?

- Polskiemu twórcy – mieszkającemu i piszącemu poza granicami kraju, nie jest wcale łatwo odciąć się i wyobcować od swoich źródeł. Jako prezes amerykańskiego Pen Clubu miałem rozliczne kontakty z twórcami przybyłymi z Europy Środkowej i Wschodniej – Węgrami, Czechosłowakami, Bułgarami, a nawet Albańczykami i mogę powiedzieć, że im jest dużo łatwiej zaadaptować się w nowym środowisku, zacząć myśleć zupełnie nowymi kategoriami. Przybysz z Polski istnieje, funkcjonuje sam – bez kompromisów. I pozostaje cały czas „podwiązany” do kultury polskiej.

Jeżeli ja o tym mówię, ja, w którym mieści się dusza żydowska i polska zarazem – to mam jeszcze inne, szczególne powody mojego „podwiązania”. Przecież właśnie w Polsce - jak nigdzie indziej! –

Żydzi znaleźli pełnię swego rozwoju i realizacji. Przecież w kraju mojego urodzenia wzrosła przez dziesięć wieków najwspanialsza literatura i kultura żydowska. W Polsce właśnie nastąpiło jej włączenie się w nurt wielkiej kultury europejskiej. Synagoga i kościół stały naprzeciwko siebie – „oko w oko”. Tolerancja Polaków wobec mniejszości żydowskiej – zapisała się złotymi zgłoskami w dziejach kultury politycznej i narodowościowej. Żydzi w jakimś sensie partycypowali w polskiej kulturze chrześcijańskiej, a Polacy starali się – z pełnym jednak poszanowaniem – wzbogacić zaściankowe środowisko żydowskie. Pamiętając o tym wszystkim postanowiłem ufundować nagrodę imienia Brunona Schulza – w wysokości 10 tysięcy dolarów – dla tych pisarzy amerykańskich, którzy spopularyzowali twórczość innych. Kandydatury do niej będą oceniane przez Pen Club USA, a także przez Amerykańską Fundację Studiów Polsko-Żydowskich. Będzie ona przyznawana co rok.

**- To co Pan mówi o stosunkach żydowsko-polskich, brzmi wielce sprawiedliwie i kojąco po fali wielkich, nieuzasadnionych napadów na Polskę, których apogeum był bodaj głośny film „Soah” Claude’a Lanzmanna...**

- To są jakieś zastraszające przykłady kompletnie ahistorycznego stosunku do sprawy. Najbardziej wypaczonych stereotypów myślenia, jakie można sobie w ogóle wyobrazić. Nigdzie przecież w okupowanych przez Hitlera krajach czy w państwach jego satelickich sprzymierzeńców – nie karano za pomoc udzieloną Żydom tak ostro i rygorystycznie jak właśnie w Polsce! Tam Niemcy stosowali najbardziej drakońskie metody eksterminacji Żydów. I właśnie Polacy – zagrożeni utratą własnego życia – ratowali Żydom z bezprzykładnym heroizmem i oddaniem. Tego jestem sam przykładem, bowiem żyję jedynie dzięki 4,5-letniemu ukrywaniu przez licznych anonimowych Polaków, których nawet nazwisk nigdy nie poznałem. Przemieszczałem się z miejsca na miejsce, nocowałem w coraz to innych domach, a przecież niech pan na mnie spojrzy, jak ja wyglądam: moja twarz jest przykładem klasycznego, antropomorficznego typu żydowskiego, w tamtych czasach jakby żywcem wzięta z plakatów hitlerowskich. To, że przeżyłem - zawdzięczam jedynie Polakom-katolikom. Jeśli zaś chodzi o antysemityzm – to uważam, że go w Polsce na dobrą sprawę nie było. Były pretensje Żydów do Polaków i Polaków do Żydów, i – niewątpliwie – sporo antyżydowskich hec i innych zadrażnień, ale to jest poniekąd normalne przy bliskich kontaktach dwu narodowości i kultur.

Stosunek Polaków do Żydów nie miał nigdy charakteru rasistowskiego, a tylko w takich kategoriach można – moim zdaniem – rozpatrywać antysemityzm. Kilka epizodów nacjonalistycznego zachowania Polaków w okresie międzywojennym w niczym nie zmienia i zmienić nie może dziesięciu wieków „złotej obecności” Żydów w Polsce. „Złotej obecności” polsko-żydowskiej, która wypełnia od 1945 roku dużą część amerykańskiej kultury, a także kultury Izraela.

**- To, co Pan mówi, zdaje się dla nas być więcej niż oczywiste, a przecież nie wszyscy w świecie tak myślą...**

- Żydzi są przecież definiowani, jak każdy zresztą naród, przez swoją historię i tradycję. Są wśród nich i tacy, którzy doszli do błędnego wniosku, że im bardziej wezmą Żydzi rozbrat z przeszłością – zwłaszcza, że ta niedawna jest tak bolesna – tym lepiej będą mogli spoglądać w przyszłość. Jestem w gronie tych, którzy chcą to zmienić. Mamy przecież wspólny mianownik – i historyczny, i w dużej mierze także kulturowy. Nie zamierzam się pozbawiać kolebki. Moje żydowskie pochodzenie jest jednoznacznie zdefiniowane przez historię i tradycję. I gorąco pragnę, aby takie myślenie stało się powszechne.

W dużej mierze służy temu Amerykańska Fundacja Studiów Polsko-Żydowskich, której patronują nobliści: Czesław Miłosz, Isaac Singer, Joseph Brodsky i Elie Wiesel, a ja mam zaszczyt być szefem jej nowojorskiego centrum. Dwie trzecie Żydów w Nowym Jorku jest swoją historią związanych z Polską lub Europą Wschodnią. Fundacja ma stanowić autorytet moralny, nawiązywać do naszych bogatych kulturowych interesów, a ich właśnie korzenie znajdują się przede wszystkim w Polsce. Chodzi o wspólne myślenie o naszej historii, a – moim zdaniem – nie powinno ono także zostawać bez związku z teraźniejszością i przyszłością kraju nad Wisłą. Dodam jeszcze, że nowojorskie centrum Fundacji jest jednym z czterech w Stanach Zjednoczonych. Pozostałe znajdują się w Bostonie, Miami i Chicago. Warto i trzeba zainwestować w prawdę o żydowsko-polskiej przeszłości. Jest to w gruncie rzeczy inwestycja w przyszłość, nie ma bowiem dla Żydów przyszłości, jeśli nie wiąże się z przeszłością!

**- Dziękuję bardzo za rozmowę.**

**Rozmawiał PAWEŁ POPIAK**